

Kaj many?

Gdy wiosną zeszłego roku wrocławskie Wydawnictwo J ogłosiło premierę książki poetyckiej Emilii Konwerskiej *Ostatni i pierwszy kajman*, poeta Marceli Szpak napisał żartobliwy komentarz o tym, że w języku śląskim *kaj many?* brzmi jak pytanie: „gdzie chłopcy?”. W zasadzie niewinny językowy żarcik Szpaka okazał się wyrocznią na skalę naszych możliwości. Nie czekaliśmy długo na chłopów, którzy pojawili się w komentarzach pod wpisem z wierszami z nadchodzącej książki, robiąc to, co surfujący w przestrzeni wirtualnej osobnik płci męskiej lubi najbardziej: wyjaśniając sobie nawzajem świat.

– Chodź, tam Emilkę obrażają w internecie – napisał do mnie kolega, który już zdążył zająć pozycję w okopach facebookowych. A ja siedziałem przed komputerem i nie wiedziałem, co mam robić – nie umiem się kłócić, również w internecie. Było mnie stać jedynie na dodanie komentarza z nagraniem medytacji na uspokojenie, który po trzydziestu sekundach usunąłem.

Zarówno dla mnie, jak i innych chłopaków dorastających na przełomie milenium szczególnie odczuwalna była społeczna zmiana związana z upowszechnianiem internetu oraz idące wraz z nią przesunięcie pola samczej walki z ulic na fora. W związku z tym przesunięciem pewne uliczne reguły straciły swoją moc – w internecie można było wypowiadać się bardziej skrajnie, a konsekwencje ciętych ripost nie były aż tak odczuwalne. Ważny w świecie ssaków element walki fizycznej nagle został wykluczony z puli możliwych rozwiązań konfliktu. Wpłynęło to na ekspresje męskich emocji w przestrzeni wirtualnej, która zamieniła się w przestrzeń do wypuszczania pary.

Usunąłem nagranie, bo pomyślałem, że na pewno nie rozdzieli to internetowych wojowników, którzy nieraz na martwo przyczepiają się do siebie niczym popularne dekady temu pitbule i amstafy. Przypomniałem o BHP, gdyż dołączenie do dyskusji groziło przyklejeniem się do wyświetlacza na cały dzień. To właśnie świadomość tego typu konsekwencji nakazuje mi trzymać się jak najdalej od udziału w bataliach internetowych. Szczerze mówiąc, mam słabą baterię w smartfonie, dlatego częste odświeżanie i odpisywanie na komentarze pozbawia mnie możliwości skorzystania z aplikacji do zakupu biletów komunikacji miejskiej wieczorem, co w rzeczywistości by oznaczało, że ludzie, których nawet na oczy nie widziałem, mają bezpośredni wpływ na moje życie.

Czekałem więc, aż komentujący się uspokoją, i wkrótce tak się stało. Internetowi herosi wcale nie różnią się od helleńskich, również towarzyszy im katharsis po skończonej bitwie. Kolega wybaczył mi brak chęci udziału, a niezadowoleni chłopcy po przeczytaniu książki zamienili się w zadowolonych. Jednocześnie dym z wędzarni Zuckerberga okazał się świetną promocją i zachęcił mnie do ośmiogodzinnej podróży do Wrocławia w celu udziału w zapowiedzianej premierze. Musiałem mieć tę książkę.

Dotarłem na miejsce, w którym miało odbyć się wydanie. Bemma Bar był pełen ludzi. Bez zaskoczeń – większość obecnych na sali stanowiły kobiety. Niektóre z nich przyjechały z bliższych i dalszych miast. Kiedy szef Wydawnictwa J i redaktor książki Jacek Bierut otwierali spotkanie, nie wiedziałem jeszcze, że będę wracał do tego dnia wiele razy. Zdałem sobie z tego sprawę w momencie, gdy po raz pierwszy zobaczyłem żywe, wesołe reakcje widowni na wiersze czytane przez autorkę. Żeby lepiej zrozumieć, o co mi chodzi, polecam znaleźć zdjęcia z dowolnego spotkania poetyckiego w okolicy i zwrócić uwagę na wyrazy twarzy widzów. Nierzadko wypisane są na nich grymasy niepopularnego w późnym kapitalizmie egzystencjalnego niepokoju.

Konwerska zaczęła czytać pierwszy wiersz. Byłem przygotowany na to, że zaraz wepchnie mnie w ciemny korytarz języka. Zrobiłem pierwszy krok, aż nagle usłyszałem śmiech kobiety w rządzie przede mną. Kolejny wiersz – i kolejna kobieta zaczęła się śmiać. Kręciłem głową, łapiąc wzrokiem twarze obecnych na sali poetów i próbując zrozumieć, co się dzieje.

Podczas kolejnego czytania kobiety śmiały się coraz głośniej, zarażając swoim śmiechem pozostałych. Tymczasem koledzy-poeci byli bardziej oszczędni w reakcjach. Kiedy zaś Konwerska zaczęła mówić o dysproporcji pomiędzy kobietami

i mężczyznami w środowisku literackim, na sali zaczęła się burzliwa dyskusja. Nie wdalem się w nią, bo złapałem się na myśli, że nie mogę podać żadnej odpowiedzi, która wykraczałaby poza moją, na starcie uprzywilejowaną przez patriarchat perspektywę. Nieostrożnie rzucony komentarz groził zaszeregowaniem do grona chłopów, którzy pierwszy raz dowiadują się, że inni myślą inaczej.

Postanowiłem sprawdzić, co ciekawego jest w tej książce, skoro budzi ona tak dużo emocji. Jest to przede wszystkim sposób, w jaki autorka posługuje się językiem. Na spotkaniu redaktor Bierut wspominał, że w trakcie pracy nad książką przez sporą część czasu zajmował się skreślaniami zaimka rzeczownego „to”, co wydało mi się bardzo istotnym szczegółem. Jeżeli należałoby postrzegać *Kajmana* jako dzieło zaangażowane, to odpowiedź na to, czy rzeczywiście nim jest, znajdziemy w sposobie nazywania rzeczy. Konwerska kwestionuje kategorie wiedzy, władzy i pewności, a czasami jej brawura nabiera mocy niemalże gaslightingu, jak w wierszu *Stare baby, którym się udało*: „to jest opowieść o prawdziwym seksie, ale takim prawdziwym / ty nie wiesz o co chodzi”.

Obfitość w stwierdzenia wyjaśniające świat sprowadziła mnie do myśli o tym, że w książce mamy do czynienia z poetyckim *womansplainingiem* – zjawiskiem do tego stopnia politycznie niepoprawnym, że nawet edytor tekstowy podkreśla go na czerwono. A zaimek „to” był podstawowym narzędziem. Jako ilustrację przytoczę w całości następujący wiersz:

Moje ulubione słowo to stupor

pies, który najbardziej kojarzy ci się z seksem,
to doberman
uroczy błąd, który przypomina prostopadłościan,
to kwadrat
uczucie towarzyszące zbliżającej się walce
to zmęczenie
pewnego dnia usłyszysz, że jesteś złym człowiekiem
pewnego dnia usłyszysz, że jesteś dobrym człowiekiem
najważniejsze
to odpowiednio wcześniej ustalić swój nastrój
(do wyboru są trzy)
i tego się trzymać

Przejęcie władzy nad nazywaniem rzeczy można uznać za reakcję na smutne dzieje pogrążonej w trwałym kryzysie patriarchalnej rzeczywistości. Jednak nie wszystkie strony zgodziłyby się na

idące za tym odwrócenie ról. Kiedy patrzy się na skrajnych patriarchalnych reakcjonistów, próbujących poradzić sobie z kryzysem męskości, rośnie przekonanie, że nowe męskie wspólnoty nie rozwiązują problemów związanych z nierównościami. Dlatego *womansplaining* wydaje się potrzebny w pierwszej kolejności dla osobnika męskiego, do którego zwraca się podmiotka w wierszu *Kto jest kierownikiem nagonki?: „za ścianą zębów jest ktoś jednak ciekawszy / koledzy to wiedzą / bez tych kolegów byłbyś skazany na fiasko”*.

Liryczność i ironia autorki wywołują wrażenie, że niekoniecznie zależy jej na mocnym, głośnym manifeście. Konwerska mówi spokojnie, ale stanowczo. Ostateczne usprawiedliwienie tego tonu znajdziemy na końcu książki w wierszu *Dzień dobry, panno Claudel: „jako osoba trzecia nie mogę wypowiadać się o przyczynie i skutku / przy tym stole akurat dziś nie siedzę / o kłątwie mówię tylko wyłącznie / jest rzucana”*.

Pojawienie się kłątwy jest niczym wymachiwanie bronią, przypomnieniem, że dla naszych słowiańskich pramatek język był obciążony ciężarem symbolicznym i ten ciężar może być znowu użyty w każdej chwili. Nie wiem, czy przekonałby do siebie naszych przodków rozważający o poprawności nazw Platon. Jeżeli tak, to czy zająłby tak samo ważne miejsce w ich społeczności jak wiedźmy i szeptuchy, poruszające się po mistycznych płaszczyznach języka?

Książka Konwerskiej i jej różnoraki odbiór poruszają fundamentalny temat zależności pomiędzy gender, władzą a językiem. Pozostając bardzo ciekawy, ile czytelniczek zacznie pisać wiersze po przeczytaniu *Ostatniego i pierwszego kajmana*, i czy do tego w ogóle dojdzie, trafiłem na wiersz *terenowe* Anny Roszman, opublikowany w *Kontencie* (nr 4/2023). Natychmiast zwróciłem uwagę na „to”, które wielokrotnie pojawia się w tekście warszawskiej poetki: „tekst to mapa / więc terytorium to cały ten pierdólnik / [...] / mapować to jest wkładać dłonie / chwycić rzeczy najprzyjemniejsze”.

Jesienią ubiegłego roku miałem okazję spotkać się z Anną osobiście i dopytać o interesujące mnie szczegóły, aczkolwiek do momentu naszego spotkania nie przeczytała ona książki Konwerskiej. Stwierdziłem zatem, że jeden zaimek rzeczowny jest za małym kryterium, żeby uznać, że *womansplaining* ma się równie dobrze w polskiej poezji, jak w obrębie mojej wyobraźni. Chociaż wybrzmiewająca w wierszu Roszman zachęta do resemantyzacji mogłaby być jednym ze sztandarowych hasel kobiet tłumaczących świat: „wpić palce, nie puszczać / i nazywać nazywać nazywać”.

Po spisaniu moich rozważań zrobiłem się bardzo wyczulony na język – szukałem wo_mansplainingu wszędzie, gdzie tylko zaglądałem. Nieraz wylaniały się i znikaly pod falami morza informacji liczne komunikaty wo_mansplainingowe, za którymi przestałem nadążać. W pewnym momencie jednak zdałem sobie sprawę, że język wciąż pozostaje tworem niedoskonałym, co tworzy nieograniczone możliwości ku powstawaniu nieskończonej ilości interpretacji i tworzeniu własnych językowych map jedynej dla wszystkich rzeczywistości.

Wrócić na ziemię pomogła mi młoda para moich rodaków, których rozmowę przypadkiem podsłuchałem na przejściu dla pieszych. Chłopak wymachiwał rękami, głośno tłumacząc dziewczynie zawile tajniki rynku kryptowalut. Dzieląc się sekretną wiedzą o algorytmach, za pomocą których można osiągnąć duże przychody w krótkim czasie, był tak niesamowicie przekonujący, że przez chwilę zasluchałem się w jego opowieści, nawet nie zauważywszy, że zapaliło się zielone. Dziewczyna przerwała jego monolog.

– Bardzo się cieszę, ale *to* jest absolutnie nieciekawe – powiedziała i pociągnęła go za rękę.